

**Prof. dr hab. Danuta Hübner**  
***„Przyszłość rozstrzyga się nie przy urnach, a w umysłach wyborców”***  
**Debata Concillium Civitas: Budapeszt, Paryż – co dalej?**  
**Warszawa, 25.04. 2022 (online)**

Myślę, że po ogłoszeniu wyników drugiej tury wyborów prezydenckich we Francji Europa wydała zbiorowy oddech ulgi.

Margines zwycięstwa prezydenta Emmanuela Macrona jest tak duży, że nie jest to przypadek, coś na kształt rzutu monetą, w której akurat wyszedł orzeł, a nie reszka. Francuzi doszli do wniosku, że obecna sytuacja ogólnej niepewności nie powinna być jeszcze pogłębiona przez wywrócenie systemu politycznego kraju przez ich własną wersję „dobrej zmiany”.

Natomiast nie zapominajmy, że czekają nas wybory parlamentarne, w których partia Marine Le Pen może uzyskać dobry wynik. Jest to partia skonsolidowana, która pójdzie na wybory z zaostrzonym apetytem, zwiększając potencjalnie fragmentaryzację Zgromadzenia Narodowego Francji. No i jest Jean Luc Melenchon, od dekad obecny na francuskim rynku politycznym, który prezentuje się jako "głos niezadowolonych" i który o włos otarł się o drugą turę i prawie nie stracił Marine Le Pen z piedestału.

Nie można wykluczyć kohabitacji prezydenta Macrona z premierem ze skrajnej prawicy albo ze skrajnej lewicy. Mam wrażenie, iż Jean Luc Melenchon już widzi się w roli premiera, a Marine Le Pen też wydaje się myśleć o takiej możliwości.

Historia pokazuje jednak, że okres między wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi jest wykorzystywany do budowania lokalnych sojuszy, które przekładają się na wyniki wyborcze. Niewątpliwie każdy rodzaj kohabitacji byłby koszmarem politycznym dla prezydenta Macrona.

To co jednak najważniejsze, to że zarówno wybory we Francji, jak i na Węgrzech, niezależnie od swojej specyfiki lokalnej, pokazują pewien niedobry trend, czyli powolne, ale systematyczne zdobywanie przestrzeni politycznej dla skrajności. Nie chodzi tu tylko o formalną władzę czy osłabienie politycznego establishmentu. Wydaje się, iż mamy do czynienia z głębszym zakwestionowaniem obecnego porządku. Najprawdopodobniej Marine Le Pen nie będzie przez najbliższe 5 lat sprawowała władzy, ale Victor Orban już tak.

Wydaje mi się, że warto w tym kontekście też spojrzeć na przykład Słowenii, gdzie populistyczny premier Janez Jansza przegrał 24 kwietnia wybory z liberalnym Ruchem Wolności, kierowanym przez Roberta Goloba, który, co warto zauważyć, był stypendystą Fulbrighta, a także kierował zespołem negocjacyjnym do spraw energetyki w rozmowach akcesyjnych. To jest rzeczywiście dobra zmiana.

Przyszłość demokracji nie rozstrzygnie się jednak w pojedynczych porażkach czy sukcesach wyborczych polityków obozu demokratycznego, ale w zdolności zmobilizowania zasobów powyborczych do przeciwstawienia się narastającej fali populistycznej. Ważne jest, aby zwycięstwa obozu demokratycznego nie były tylko przerywnikami w długim marszu populistów. Marszu, którego celem nie jest władza sama w sobie – to tylko instrument – ale zmiana całościowego krajobrazu politycznego w taki sposób, aby przenicować system demokratyczny na modłę populistyczną, czy to skrajnie lewicową, czy skrajnie prawicową.

W przypadku skrajnej lewicy, tych „wrogich przejęć” demokracji w Europie było stosunkowo mało. Natomiast wiemy, co takie przejęcie oznacza w wersji twardego prawicowego populizmu. Jest to nic innego jak Orwellowski rok 1984 w nowej odsłonie, gdzie niewolę nazywa się wolnością, autorytaryzm demokracją, pogardę „wstawianiem z kolan”, etc.

Czy z wyborów we Francji, na Węgrzech, w Słowenii można wyciągnąć jakieś wnioski? Myślę, że tak. Pokazują one, że wszystko jest możliwe. Można pokonać populistów, jak w Słowenii. Pokazują też, że wybory są tylko wstępem – trzeba być dobrze przygotowanym do tego, co mamy robić po nich. Prezydent Macron chyba to zauważył, że musimy teraz my, demokraci, być w silnej ofensywie.

Gdy powiedział, że „odpowie” tym, którzy głosowali na Le Pen, a także odniósł się do tego, że wielu na niego głosowało po to, aby odeprzeć prawicę, to zapewne myślał o odwróceniu wektorów i dokonaniu tego, co tak dobrze wychodziło do tej pory populistom, a raczej średnio demokratom, czyli politycznej inwazji na teren przeciwnika i odbicia jego elektoratu.

Macron szykuje się do ofensywy na nieprzyjazne mu terytoria i będzie to ciekawy eksperyment, wart obserwacji w kontekście innych przypadków, również w Polsce.

Ciekawa jest także różnica pomiędzy Słowenią a Węgrami.

W Słowenii Jansza poległ, bo jego władza miała charakter bardziej woluntarystyczny i doraźny, bez szerokiego zakorzenienia strukturalnego w różnych pozapolitycznych obszarach funkcjonowania państwa.

Na Węgrzech zaś Orban okazał się nie do obalenia, bo jego władza właśnie opiera się na rozgałęzionym systemie – którego oczywiście dużą częścią jest klientelizm i korupcja – ale też na kompletnym przejęciu sfery pozapolitycznej, całego imaginarij państwowego, historycznego, tego, co Benedict Anderson nazywa „wspólnotą wyobrażoną”. Węgry, pod rządami Orbana, stały się jej wsobną, zamkniętą wersją. Cała struktura społecznej wyobraźni i jej mentalne granice zostały ukształtowane i zdominowane przez stereotyp obrony narodu jako zagrożonej grupy, która doświadczyła wielkiego wspólnego nieszczęścia (Trianon).

Na tym etapie zaawansowania jest bardzo trudno zakwestionować w wyobraźni elektoratu ten podstawowy budulec "orbanizmu", gdyż, po latach indoktrynacji, wgrzyźł się głęboko w zbiorową mitologię.

Można uznać, optymistycznie patrząc, że przypadek węgierski, z tych powodów historyczno-etnograficznych, jest wyjątkowy. I można mieć nadzieję, że takie totalne domknięcie antydemokratyczne nie może się udać w innych warunkach (vide Słowenia). Ale też należy dmuchać na zimne.

W Polsce, z powodu znacznie szerszej sfery publicznej, wielości niezależnych aktorów, jest ciągle potencjał społeczny dla odsunięcia populizmu, nie tylko od władzy, ale też od wyłącznego wpływu na kształtowanie naszej „wyobrażonej wspólnoty”.

Choć są ciągle, co prawda, Niemcy i Europa, przed którymi trzeba nas bronić, o czym PiS nie da nam zapomnieć.

Projekt „czarnkizacji” systemu edukacji co prawda upadł, dzięki, oby nie chwilowej, niesubordynacji politycznej Pana Prezydenta. Ale nawet jeśli Pan Minister Czarnek odejdzie w niesławie, to znajdzie się niejedna kurator Nowak, która zadba o kontynuację tego kierunku indoktrynacji nowych pokoleń na poziomie lokalnym. To samo z Ministrem Glińskim, prezesem Kurskim, etc., którzy wszędzie pozostawią swoich mniej czy bardziej uzdolnionych epigonów.

Dlatego, jeśli mamy wyciągać wnioski dla Polski z tych wyborów wokół, to nie wolno nam ograniczać się tylko do sfery politycznej, czyli wygrania wyborów. Na szczęście, nie mamy, tak jak Węgrzy, kompleksu Trianon. Władza jednakże robi od lat wszystko, aby wpoić nam stereotyp Polski upokarzanej przez możniejszych, takich jak Unia czy Niemcy. Polski, która nie może po prostu prowadzić normalnej polityki, ale musi wstawać z kolan i, jeśli się da, ograć przeciwników.

To trzeba zauważyć: dla PiS sfera polityczna i jej przejęcie jest tylko elementem tego, co Jarosław Kaczyński nazywa od lat „dojściem do Prawdy”. On to mówi konkretnie w odniesieniu do katastrofy (wg. niego, zbrodni) w Smoleńsku. Ale jest to też wyraz tego, że cała polityka według PiS ma charakter eschatologiczny.

Cały czas PiS „dochodzi do prawdy” i chce, aby inni tę prawdę, w całości czy w kawałkach przyjęli jako objawioną. Dlatego normalna polityka w tak nakreślonym imaginariu „wyobrażonej wspólnoty” jako wspólnoty metafizycznego dążenia, jest po prostu niemożliwa.

Nie ulega wątpliwości, iż wybory będzie bardzo trudno wygrać z tak zdeterminowanym przeciwnikiem jak PiS. Ale prawdziwa walka rozegra się nie przy urnach, tylko w umysłach ludzi, już po wyborach. Będzie trzeba bardzo dużego wysiłku, aby „znormalizować” polską politykę, odłączyć ją od tego eschatologicznego „zasilania” i przestawić na tory pragmatycznego myślenia. To będzie również wymagało zwrócenia się do elektoratu PiS, który w tej eschatologii czuje się komfortowo i dobrze, gdyż zaspokaja ona jego emocjonalne potrzeby. Z tego punktu widzenia ważne będzie doświadczenie Prezydenta Macrona.

Tę eschatologię będzie trzeba czymś zastąpić, aby przywrócić demokrację. Wg. tzw. piramidy Masłowa, można powiedzieć, że PiS zapewnia wyborcom zaspokojenie potrzeb bezpieczeństwa, przynależności i (częściowo) uznania. One mogą być użyteczne dla utrzymania pewnej równowagi społecznej. Nie zapewniają jednak jednej, ale kluczowej dla rozwoju społecznego potrzeby, a mianowicie samorealizacji. I na tej potrzebie, w jej wielowariantowości, powinna skupić się demokratyczna opozycja, przekładając to na konkretne programy polityczne, ale także na coś najważniejszego - przywrócenie zdolności do marzenia i wiary we własną sprawczość, co PiS tak skutecznie nam odebrał.